

racą herbatą i w ten sposób zmusić, aby się na nią popatrzył i żeby przemówił.

Zaniedbała jednakże tego planu i zawstydzila się go sama przed sobą.

— Nie! To byłoby zbyt trywialne, zanadto głupie!

Stasia zauważyła, że Montwiłł co chwila wyjmie zegarek i spogląda nań z niecierpliwością.

— Czy spieszy się gdzie?

Inżynier Mieduniewicz, który miał objąć dyżur po Montwille, zbliżył się do jego stolika.

— Więc to już ułożone! — rzekł — Pan mnie zastąpi w dyżurze podczas kolacyi? Będę bardzo wdzięczny, bo chcę iść do teatru.

— Ależ najchętniej zastąpię pana, mam czasu dosyć.

Taca zadrżała tak silnie w rękach Stasi, że omal nie upuściła jej na ziemię. Miała nadzieję, że Montwiłł po dyżurze odprowadzi ją do domu, tak, jak to dawniej bywało — a on zostaje.

Nie spieszy mu się więc nigdzie, dlaczego zatem spogląda ciągle na zegarek?

Tknięta jakimś przeczuciem, podbiegła do zawieszzonego na ścianie rozkładu dyżurów i spojrzała: Godzina 6 — 8 P. Żurakowska.

— Więc to tak! No, tak, naturalnie!

Stasia stała jak ogłuszona wpatrując się w drobne, czarne literki, które tworzyły nazwisko: „Żurakowska“.

Zacinała zęby, żeby nie krzyknąć, całą siłą woli wstrzymywała się od płaczu.

Fala nienawiści ku Anielce, fala gryzącej, szalonej, bezrozumnej zazdrości zalała jej duszę.

— Ach! Ta kokietka! Umówiła się z nim na pewno!

— Stasiu! Dlaczego stoisz beczynnienie? — zabrzmiał głos Hanki — Zanieś te trzy herbaty.

Stasia oprzytomniała.

— Głowa mnie rozboleła! — wyrzekła jakimś nieswoim, zmienionym głosem — Muszę iść do domu!

— Ależ, Stasiu, tyle roboty! Któż cię zastąpi?

— Wszystko mi jedno, niech mnie zastąpi ktośkolwiek, jestem chora.

— Przed chwilą przecież byłaś zupełnie zdrowa?

— Ach! Nie dokuczaj mi!

Hanka, zdumiona i zaniepokojona, patrzyła na pobladłą, drgającą nerwowo twarz siostry. Przeczuciwała, że powodem tego nagłego bólu głowy był Montwiłł i gubiła się w domysłach i przypuszczeniach. Zdaje się, że nie zamienili ze sobą ani słowa, więc co się stało?!

Nie było jednak czasu na długie refleksje, bo w sali było już nie tylko rojno, ale wprost ciasno.

— Proszę pani, dla mnie herbatę z cytryną!

— Proszę dwa chleby!

— Proszę trzy „parki“!

Hanka rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem kogoś, ktoby jej dopomógł, bo Stasia wkładała już kapelusze.

W tej chwili do „kuchni“ weszła, a raczej wbiegła młodziutka panienka, zdyszana od szybkiego biegu i zaróżowiona od mrozu.

Miała okrągłą twarzyczkę przymilnej młodej koteckiej i skromną minę, której przeczyły figlarne ogniki w oczach.

Mogła mieć najwyżej lat szesnaście, ale miała purpurowe usta dojrzałej kobiety i rozwiniętą nad wiek kibić.

— Oho! Przyszła panna Józia! „Dziewczę z buzią jak malina“ — zanucił z cicha jeden ze starszych gimnazjalistów.

Kilka par oczu młodzieńczych pobiegło ku przybyłej panience. Ona widziała to i uśmiechnęła się, odślaniając z za purpurowych warg drobne, białe i ostre, jak u drapieżnego zwierzątka, zęby.

Wzrokiem szukała kogoś po sali, ale nie znalazła, bo wyraz lekkiego niezadowolenia przemknął po jej twarzy.

— No! Jeżeli jest panna Józia, to i Żarnicki wyrośnie tu zaraz. Bardzo dobrze, bo mam interes do niego, a nie mogłem go dzisiaj nigdzie złapać! — odezwał się jeden z młodych ludzi, zgromadzonych koło stołu.

— Cóż to znowu za kombinacja?

— A to takie wzajemne przyciąganie.

— Hm! Ta Józia, to zdaje mi się, jeszcze innych przyciąga...

— Iii! Koza! Smarkata!...

— Ale ma dyablika w oczach! Powiadają ci, że to szampańskie dziewczę!

— A może, co mi do tego! Nie mam zamiaru wchodzić Żarnickiemu w drogę.

— A cóż to Żarnicki ma monopol na wszystkie ładne dziewczęta, czy co? Czy to on pierwszą bałamuci? To przecież znany łagodny „Don Zuan“, jak

go nazywa Mieduniewicz. Ciekawym, co te kobiety w nim widzą, że tak leżą na niego?

— Czy ja wiem, co tam w nim widzą! Nie zazdroszczę mu wcale tych jego sukcesów! Jak mu się chce tracić tyle czasu i energii na zawracanie babom głowy, to niechże sobie traci. Mogłby już od dwóch lat mieć egzamin, gdyby nie te flirty i romanse.

Ale drugi rozmawiający interesował się bardzo panną Józią i pytał dalej:

— Czy ta mała, to ona jest tutaj bez rodziców lub jakichś starszych opiekunów?

— Podobno jest tylko z młodszą siostrzyczką i służącą... Ojciec musiał pozostać w Galicyi, a córki wysłał dla bezpieczeństwa...

— Tak... hm... No to Żarnickiemu w to graj!... Powiadają ci, że ona jest ładna!

— A dajże spokój, nie szukaj niepotrzebnie awantury! Żarnicki jest zazdrosny o każdorazową miłość, jak Otello!

Hanka Staszyńska, zobaczywszy panienkę, rzuciła się ku niej, jak ku zbawieniu.

— Panno Józiu! Pani mi pomoże w wydawanym podwieczorków, dobrze?

— Ależ naturalnie, proszę pani... Ja przecież po to przyszłam... Miałam takie przeczucie, że będę potrzebna, że się przydam... Ja tylko po to przyszłam! — zapewniała tak gorąco, jakby się obawiała, że ją ktoś posądzi o inny cel odwiedzin „kuchni“ — Już jestem na usługi, tylko wiozę fartuszek!

Na progu sali stanął młodzieniec z twarzą bardzo szczupłą, o szarej, jakby chorobliwej cerze. Ukłonił się paniom i podłuzując, piwne jego źrenice spotkały się z filuternymi, jasnymi oczkami Józi. Po między dwojgiem tych młodych przeleciała istna błyskawica spojrzeń. Trwało to krótką chwilę.

Józia natychmiast odwróciła się w inną stronę i zrobiła tak obojętną minę, jak gdyby przybyły młodzieniec zupełnie ją nie zajmował.

— Konradzie! Żarnicki, a chodźcie no tu! — zawołał ten młody człowiek, który poprzednio zdradzał tak wielkie zainteresowanie Józią.

— Servus Wicherek!

Żarnicki podszedł z wolna ku kolegom.

Nie był przystojny, przeciwnie, możnaby go było nazwać nawet brzydkim, gdyby nie piękne piwne oczy o jakimś nieokreślonym, magnetyzującym wprost spojrzeniu i niezwykle miły uśmiech.

— Słuchajcie, Żarnicki, dowiadujecie się, czy tam będzie można dostać jaką zapomogę w formie pożyczki bezterminowej w tym „komitecie pomocy“? Wstyd już doprawdy obnosić człowiekowi swoje podarte buty pomiędzy tymi wypasionymi elegantami czeskimi w cylindrach...

— Trudno będzie... Oni mało mają pieniędzy, a zgłaszających się po zapomogę jest mnóstwo... Trzebaby chyba obrobić prezesa, albo jeszcze lepiej, jak mi mówiono, udać się do jego żony, to możeby się coś znalazło...

Wicherek z irytacją przegarnął ręką czarną, powichrzoną czuprynę.

— A niech to jasne pioruny zatrzasną! Tego już zanadto! Dość mam tej zebraniiny i zbijania bruków praskich... Trzeba się wziąć do roboty, do jakiegokolwiek roboty!

— Tak, tylko gdzie znaleźć robotę? — zapytał trzeci towarzysz. — Tutejsi nie dopuszczają nas do niczego, a o te kilkadziesiąt marnie płatnych lekcji polskich dobijają się dziesiątki, jeżeli nie setki potrzebujących... Szczególnie Królewscy, bo ci nawet tych siedmdziesięciu halerzy dziennie nie pobierają...

— Tak, rzeczywiście, nie można znaleźć pracy odpowiedniej dla inteligenta, akademika, człowieka wykształconego i tam dalej, ale trzeba zatem wziąć się do czego innego.

— Do czego, na przykład?

— Jutro zgłaszam się na kolej o robotę...

— Nie dostaniesz posady.

— Posady urzędnika prawdopodobnie nie, ale na prostego robotnika mnie przyjmą!

— Każ wam nosić worki, lub wozic wózki z towarami — zauważył Żarnicki.

— No, to będę! Wolę to, jak zadzierać nos do góry i wyglądać, czy mi manna z nieba nie spadnie...

— Nie podołacie...

— Co? Ja nie podołam?! — zawołał Wicherek, podając dumnie pierś naprzód. — Pewnie, że wam nie polecałbym tego, bo macie słabe zdrowie i jesteście, szczerze mówiąc, cherlak, ale ja mam nie-spożyte siły! Ja jestem, proszę was, syn chłopski, nieraz pomagałem ojcu w polu i praca fizyczna mnie nie przeraża!

— Pewnie, pewnie, że tak lepiej. Ja sam, gdybym był zdrowszy i silniejszy...

— I... po co wam to?... Macie krewnych, mo-

zecie od nich czerpać... Zresztą jesteście ulubieńcem rozmaitych pań, które się o wasze zdroweczko troszczą — zaśmiał się Wicherek trochę uszczypliwie, ale widząc, że Żarnicki robi obrażoną minę, dodał pospiesznie:

— Nie macie się o co obrażać, wiecie, że was lubię, boście sympatyczny chłop... A że tam jesteście trochę papinek i rozpieszczony mamin synek, to już nie wasza wina... Takim was urobiło życie, nie zazналиście twardej biedy i gonitwy za suchym kawałkiem codziennego chleba...

— Pewnie, pewnie... — odpowiedział z widocznym roztargnieniem Żarnicki.

Myśl jego odrywała się od tematu rozmowy, a oczy krążyły po sali i ściagały Józi, która krzątała się koło stołów, roznosząc herbatę i zabierając niepotrzebne już szklanki.

Pomagał jej w tem zgrabny, wysoki, nie wiele starszy od niej chłopak z twarzą zdrową, różową, wesołą.

Józia wydawała mu jakieś rozkazy, pokazując w uśmiechu wszystkie ząbki, a chłopiec spełniał je posłusznie i skwapliwie, bardzo smacznie zadowolony z roli, jaką odgrywał.

— A teraz ja będę myła szklanki, a pan je będzie wycierał — zdecydowała Józia tak głośno, że te jej słowa dobiegły do uszu Żarnickiego i jego towarzyszy.

— Dobrze, proszę pani.

Stałowe błyski gniewu mignęły w oczach Żarnickiego, brzydka zmarszczka przecięła mu czoło.

Wicherek spostrzegł to i uśmiechnął się znowu.

— „Das ewig Weibliche zieht uns hinan“, prawda kolego? Nowa „flama“?

— Czy wy przypadkiem, Wicherek, według siebie nie sądzicie? — odciął się Żarnicki.

— A choćby... choćby... kto wie, jeżeli będę miał czas i ochotę, to poprobuję współzawodniczyć z wami.

Wicherek chciał mówić coś więcej jeszcze, ale urwał nagle, jakby porażony spojrzeniem Żarnickiego.

W spojrzeniu tem odmalowała się taka siła tłumionej namiętności i tak gwałtowny gniew, że Wicherek umilkł.

Traktował on tę całą sprawę raczej żartobliwie i nie miał wcale zamiaru wszczynać awantury lub pogniwać się z Żarnickim, do którego, jak sam mówił, czuł jakąś „słabość“.

Zmienił więc prędko temat i nie wspominał już ani słowem o Józi.

Stasia Staszyńska pomimo zapowiedzi swojej nie opuszczała lokalu „kuchni“.

Ubrana do wyjścia w kapeluszu i zakiecie, siedziała na krześle, patrząc przed siebie tępym jakimś wzrokiem.

— Stasiu, jeżeli nie wychodzisz, to zdejż żakiet. Zaziebisz się, tutaj gorąco — troskliwie upominała Hanka.

Stasia niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Daj mi spokój! — odburknęła.

Hanka nie odzywała się już więcej, rzuciła tylko kiedy niekiedy na siostrę niespokojne spojrzenia. — Wiedziała bowiem, że Stasia w podrażnieniu i gniewie niedostępna jest dla wszelkiej rozsądnej perswazyi.

Milczała więc, łamiąc sobie na próżno głowę nad wyszukaniem przyczyny tej nagłej zmiany usposobienia siostry.

Hanka rada była, że zbliża się już godzina szósta i dyżur się kończy. Chciała jak najspieszniej wyciągnąć stąd Stasię, aby ta w podnieceniu nie popełniła jakiegoś nietaktu.

Pospiesznie więc z pomocą Józi i owego różowego, wysokiego chłopca, który nazywał się Gliniewicz, uprzątała i porządkowała wszystko.

— Proszę pani, ja muszę już iść — oświadczyła Józia. — Późno już, mieszkam daleko, a w domu czekają na mnie.

— Ja panią odprowadzę, panno Józiu — ofiarował się pospiesznie Gliniewicz.

— Ano, dobrze — odparła niedbale dziewczyna, rzucając ukradkowe spojrzenie gdzieś w bok na salę.

Zdjęta z wieszadła swoją miękką, czarną, futrzaną czapeczkę i nasunęła ją na włosy trochę zuhowato, na bakier.

Robiła to bardzo powoli, jakby demonstracyjnie. Jasna cera dziewczyny zdawała się jeszcze jaśniejszą, odbijając korzystnie od czarnego futerka czapeczki.

Gliniewicz sięgnął ręką po żakiet, aby go podać Józi, zanim jednakże zdolał go ująć, uprzedził go w tem Żarnicki, odsuwając niemal brutalnie Gliniewicza na bok.

(Ciąg dalszy nastąpi).